

Janusz Sławiński

MRM

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (50), 1-11

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Komitet
Nauk
o
Literaturze Polskiej
i
Instytut
Badań
Literackich PAN**

dwumiesięcznik 2(50), 1980

teksty teksty teksty

TEORIA LITERATURY · KRYTYKA · INTERPRETACJA

MRM

Maria Renata Mayenowa należy do najbardziej znamienitych postaci w polonistycznym «pokoleniu 1910», które — mimo że straszliwie strzaskane przez historię — zdołało decydująco wpłynąć na obecny wygląd naszej dyscypliny. Podobnie jak Kazimierz Budzyk, Tadeusz Mikulski, Kazimierz Wyka, Stefan Żółkiewski, Czesław Zgorzelski — ukształtowała swoimi działaniami badawczymi, pedagogicznymi i organizatorskimi odrębną dziedzinę w dzisiejszym polskim literaturoznawstwie: obszar odkrytych lub na nowo sformułowanych problemów, zbiór uznanych dokonań, szkołę naukową złożoną z uczniów (i uczniów tychże uczniów), których dorobek jest zauważalny również poza środowiskiem nauki polskiej, wreszcie szereg placówek i warsztatów pracy badawczej, których powstanie i pomyślne prosperowanie zawdzięcza się Jej inicjatywom.

Każda z takich dziedzin ma sobie tylko właściwe nacechowanie stylowe, które rozciąga się nie tylko na dziedziny spraw otaczanych ciekawością, na rodzaje podejmowanych przedsięwzięć, na upodobania i niechęci metodologiczne, na preferowane sposoby rozrządzeń i terminologie, ale też — w nie mniejszym stopniu — na zwyczaje i rytuały współżycia ludzi wywodzących się z poszczególnych dziedzin, na ich mowę i zachowania. Owo stylowe nacechowanie to (w przeważającej mierze) nic innego jak obiektywizacja cech i dyspozycji osobowościowych uczonego, o którym powiadają, że jest ich

Mistrzem, Nauczycielem, Przewodnikiem. To jakby jego ślady odciśnięte w rozmaitych tworzywach: w materii tematycznej badań, w rozpowszechnionych gestach interpretacyjnych, w formach ekspresji pisarskiej uczniów, w codziennej pracy zakładu, katedry czy redakcji.

* * *

Dla generacji polonistów, do której należę, oddziaływania wybitnych postaci «pokolenia 1910» mają znaczenie najzupełniej zasadnicze. Chciałbym kiedyś dokładniej wyjaśnić (także sobie samemu), dlaczego właśnie to pokolenie tak silnie zaważyło na naszych zainteresowaniach, wyborach i postawach. Wszak naturalniejszy wydawałby się związek z pokoleniem następnym, którego duchowość uformowała się w warunkach bliższych naszemu życiu doświadczeniu. A jednak nie to bliższe, a tamto dalsze stało się dla nas głównym układem odniesienia: jako kluczowa tradycja naukowa, jako repertuar wzorów osobowościowych, wreszcie jako zestaw drogowskazów i znaków ostrzegawczych. Bezpośredni poprzednicy niewiele mieli nam do zaoferowania ponad to, czym aż do przesytu byliśmy karmieni na studiach. Natomiast poprzednicy owych poprzedników mieli jeszcze w zapasie pokarmy nowe i bardziej — tak uważaliśmy — treściwe. Dziwna to była nowość, skoro w znacznej mierze wiązała się z czasami ich własnej młodości. Ale osobliwym zarządzeniem losu nabierała w połowie lat pięćdziesiątych cech nowości najbardziej bezspornej — przynajmniej w oczach ludzi z mojej generacji. Kiedy kończyłem studia, miałem głębokie przekonanie, że najważniejsze i najbardziej obiecujące sprawy polonistyki literackiej wydarzyły się w drugiej połowie lat trzydziestych. Ta przeszłość wydawała mi się — paradoksalnie — najbardziej pożądaną przyszłością dyscypliny. Nie mnie jednemu tak się wydawało, chociaż różni z różnymi elementami owej przeszłoprzyszłości łączyli główne nadzieje. Niektórych pociągała humanistyka przeniknięta duchem neopozytywistycznego rygoru, inni bardziej gustowali w jej odmianie personalistyczno-egzystencjalistycznej; obok tych, którzy za nieprześcigniony ideał myślenia o literaturze uznawali teorię Romana Ingardena, występowali zwolennicy koncepcji formalistyczno-strukturalistycznych; jedni byli miłośnikami genologii, uznając ją za centrum poetyki, drudzy wysuwali na czoło

teorię języka poetyckiego... Odżywały wtedy idee, dążenia i fascynacje, z jakimi wystąpiło dwadzieścia lat wcześniej «pokolenie 1910». W całkowicie odmiennej scenerii przeżywalismy na nowo dawne przygody intelektualne tego pokolenia. Dzieliliśmy z nim nie tylko upodobania, ale i uprzedzenia (np. antypsychologizm); sytuowaliśmy się wobec tych samych możliwości i alternatyw; różnicowaliśmy się na podobieństwo jego wewnętrznych zróżnicowań. Żyjący przedstawiciele owego pokolenia budzili naszą ciekawość przede wszystkim jako ci, którzy s t a m t ą d przyszli — bez względu na to, dokąd później doszli, a przecież niektórzy zawędrowali w rejony bardzo odległe od punktu wyjścia. Reprezentowali więc również tych nieżyjących, którzy w latach wojny i okupacji przebyli drogę do nikąd i już na zawsze pozostali wpisani w krajobraz naukowoliteracki swoich lat młodości. Nasza młodość nawiązała komunikację z ich młodością i odnalazła w niej wzór samej siebie. Lgnęliśmy do nich spontanicznie, ponieważ ceniliśmy to, co czynili i do czego zmierzali, gdy byli naszymi r ó w i e ś n i k a m i. W grę wchodziło coś znacznie istotniejszego niż tylko wola kontynuowania dążeń i prac badaczy, których uznaliśmy za swoich nauczycieli; było to pragnienie utożsamienia się z ich przeszłym losem, odzyskania czasu utraconego, doświadczenia sytuacji intelektualnej, w jakiej formowała się ich odrębność generacyjna. A więc pragnienie niemożliwości. Ale właśnie dzięki niemu mogło «pokolenie 1910» tak dalece wpłynąć na życie i charakter polskiego literaturoznawstwa w ciągu ostatnich dziesięcioleci. Nie zagrożone odepchnięciem czy obojętnością ze strony młodszych, przeciwnie: wzmocnione nawiązaniem, powtórzeniami i ponowieniami — rozgałęziło się w naszej dyscyplinie i określiło mapę jej dzisiejszych orientacyj. Gdyby dokonać przeglądu dokonań, inicjatyw i pomysłów składających się na dorobek generacji moich rówieśników, a więc badaczy znajdujących się w zaawansowanym już wieku średnim — z pewnością okazałoby się, że najważniejsze zrodziły się bądź w kręgu promieniowania ludzi z tamtego pokolenia, bądź po prostu w bezpośrednim z nimi współdziałaniu. Wcale przy tym nie myślę wyłącznie o dokonaniach, inicjatywach i pomysłach, które wyłoniły się w czasie, gdy znajdowaliśmy się w sytuacji terminatorów lub czeladników; w nie mniejszej mierze mam na uwadze akcje badawcze czy krytycznoliterackie przedsięwzięte poza wszelkimi instytucjonalnymi zależnościami od nauczycieli i protektorów.

Wciąż właściwie jesteśmy uplątani w sprawy, które im są (lub były) bliskie, wciąż żywimy się ich myślami, wciąż zamieszkujemy w dzielnicach przez nich zaprojektowanych — nawet jeśli sami musieliśmy tam to i owo przebudować lub dobudować. Czy fakt, że nie odczuwaliśmy potrzeby zerwania ze światem tych, których wybraliśmy w młodości za swoich patronów — nie świadczy przypadkiem o naszej słabości lub wręcz o mizeractwie duchowym? Czy można bowiem wypracować własną tożsamość, nie porzucając — nawet z pewną ostentacją — swoich pierwszych przywiązań i wzorów? Nie uchylam się od postawienia tego pytania, choć nie do mnie należy odpowiedź...

* * *

Bardzo trudno wskazać, gdzie przebiegają granice obszaru, będącego — dawniej i dziś — dominium Pani Mayenowej. Zasięg, różnorodność i rozmach Jej poczynań budzą podziw, ale i mogą wprawić w zakłopotanie każdego, kto pragnąłby tym poczynaniom przyporządkować określone miejsce w ustalonym łańdźcu życia naukowego. Z zasady bowiem godzą w zastygłe układy ramowe: zakładają nowy podział kompetencji instytucjonalnych, przesunięcie płotów dzielących dyscypliny i specjalności badawcze, przepływ ludzi między różnymi zespołami i kręgami. Nieodmiennie towarzyszy im element zamieszania, wywołującego popłoch planistów i administratorów oraz zaniepokojenie metodologicznych purystów. Pani Mayenowa nie gustuje w rozwiązaniach prostych i wygodnych; z prawdziwym upodobaniem wybierze zawsze drogę najeżoną przeciwnościami i komplikacjami, wyboistą, ciernistą — nie zalecaną w itinerariach i bedekerach.

Mogłoby się wydawać — zwłaszcza nie zorientowanemu obserwatorowi — że terytorium, którym włada, jest stosunkowo niewielkie i dokładnie umiejscowione w ustabilizowanym porządku wiedzy o literaturze. Jest nim poetyka. Na dodatek niecała, bo przecież nie obejmująca na przykład zagadnień kompozycji utworu literackiego, tematologii czy genologii. Jest to poetyka skupiona wokół spraw organizacji tekstu literackiego, jego semantyki, stylistyki i wersyfikacji — taka mniej więcej, jakiej podobiznę zarysowała Pani Maye-

nowa w książce «Poetyka teoretyczna». Gdy jednak nie zorientowany obserwator popatrzy nieco dokładniej, spostrzeże — z podziwem lub zgrozą — że ten nieduży (ale doskonale uzbrojony) kraj prowadzi politykę bezprzykładnie zaborczą: ciągle coś podbija, przyłącza, kolonizuje, wysyła ekspedycje do innych krajów, ingeruje w ich sprawy wewnętrzne. Toteż rzeczywiste — a nie tylko deklarowane — granice jego terytorium przebiegają nieraz daleko poza obrębem wiedzy o literaturze, wrzynając się w głąb innych terytoriów. Przede wszystkim w głąb językoznawstwa, którego różne subdyscypliny, szkoty i problematyki stanowią główny kontekst dla większości (a może nawet dla wszystkich) prac Pani Mayenowej. Poetyka, którą buduje, ma nie tylko fundament lingwistyczny; w pewnych swoich składnikach sama staje się po prostu częścią lingwistyki. Na przykład: problematyka mechanizmów spójnościowych tekstu — tak ciekawie postawiona i rozwinięta przez Panią Mayenową oraz za jej przykładem przez innych — ma oczywiście znaczenie nie tylko dla badań nad morfologią przekazów literackich: jest to realny wkład w dzisiejszą lingwistykę tekstu — coraz bardziej przyciągającą uwagę językoznawców. Podobnie rzecz wygląda z prowadzonymi w kręgu Jej oddziaływań pracami nad słownictwem i semantyką. A czy trzeba przypominać ową gigantyczną — i bezprecedensową w takim zakresie — robotę leksykograficzną, jaką jest «Słownik polszczyzny XVI wieku»? Nie wiem, czy wśród czytelników naszego piśmka są ludzie na tyle młodzi, że mogą ufnie liczyć na doczekanie dnia, w którym pojawi się w księgarniach ostatni tom tego dzieła. Ale przecież my wszyscy pozbawieni takiej nadziei zdajemy sobie sprawę, że oto obok nas powstaje jeden z tych nielicznych tworów humanistyki współczesnej, którym przysługiwać będzie epitet „wiekopomne”. Historia tego wielkiego przedsięwzięcia od ponad ćwierćwiecza wplotła się w biografię naukową Profesor Mayenowej: i jako pełna emocji przygoda badawcza — zwłaszcza w fazie konceptualnego przygotowania, i jako codzienny trud wykonawczy, nad którym sprawowała pieczę to z bliska, to z pewnego oddalenia, i jako źródło sytuacji dramatycznych lub wręcz konfliktowych. Do dziś jeszcze dla wielu trudny do pojęcia jest fakt, że tak fundamentalna praca w dziedzinie historii języka może powstawać w literaturoznawczej strefie wpływów. Ale przecież na dobrą sprawę nie mniej zastanawiające jest i to na przykład, że badania nad przemianami świadomości językowej i stylistycznej — od staro-

polszczyzny po XIX w. — znalazły się też w tej strefie, mimo że znacznie wykraczają poza standardowe potrzeby historii literatury (a nawet historii «form literackich»). To również domena Pani Mayenowej i Jej współpracowników. Z drugiej strony można by wskazać długi szereg kwestii badawczych, których właściwe postawienie w obrębie poetyki jest dla Niej w ogóle niemożliwe bez odpowiedniego wsparcia językoznawczego. Do takich należą z pewnością sprawy wersologii — i to zarówno teorii wiersza, jak historii polskich systemów wierszowania, jak wreszcie słowiańskiej metryki porównawczej — angażujące rozległą kompetencję w dziedzinie fonologii, prozodii języka, wiedzy o składni itd. Nieraz objaśnienie mechanizmów tekstu poetyckiego wymaga bardzo drobiazgowego wnikania w ich motywacje ogólnojęzykowe, jednakże one same z kolei mogą być objaśniane w ten lub inny sposób — przy pomocy teoryj czy hipotez odnoszących się do podstaw funkcjonowania języka, a nawet odsyłających poza język. Otóż Pani Mayenowa zawsze odczuwa silną pokusę, by zbliżyć się do takiego elementarnego — najbardziej pewnego z pewnych — poziomu objaśnień, mimo że nie wydaje się to wcale konieczne z punktu widzenia potrzeb poetyki. Jej postawę cechuje optymizm poznawczy: wiara, że istnieje — schowane gdzieś — źródło wiedzy niespornej, dającej szansę ostatecznego wytłumaczenia zjawisk poddawanych oglądowi i ustaleniu, czym naprawdę są. Gdyby się przypadkiem okazało, że dla określenia kryteriów spójności tekstu wielozdaniowego miałyby znaczenie znajomość jakichś (powiedzmy) procesów biochemicznych, być może wpływających — poprzez niezliczone poziomy pośrednie — na ową spójność, Pani Mayenowa niezawodnie zwróciłaby się z nadzieją w stronę biochemii. Rozpoczęłaby od gorliwego uczestnictwa w cotygodniowych seminariach prowadzonych przez wybitnego przedstawiciela tej dyscypliny — w odległym mieście, do którego dojazd jest wysoce uciążliwy...

Ciekawe, że ta różnokierunkowa ekspansja, wymagająca przecież rozpraszania wysiłków, może okazywać się w państwie rządzonej przez Panią Mayenową naturalnym sojusznikiem przedsięwzięć zmuszających do ich maksymalnej koncentracji. Tylko pozornie jest to zdanie paradoksalne; faktycznie stwierdza ono zależność najzupełniej oczywistą. Są bowiem takie gatunki robót, które mogą być podjęte i fortunnie uprawiane jedynie wtedy, gdy w tym celu połączą się rozmaite specjalności, warsztaty badawcze, umiejętności

i techniki. Na przykład i przede wszystkim: roboty filologiczno-edytorskie — zwłaszcza jeśli ich przedmiotem są teksty dawne. Pani Mayenowa zna dobrze ich sekrety; jako wieloletni redaktor pomnikowej «Biblioteki Pisarzy Polskich» miała aż nadto dużo okazji, by utwierdzić się w przekonaniu o praktycznej doniosłości, jaką ma w pracy edytora naukowego nie tylko rozeznanie w materiałach różnych dyscyplin i specjalności, ale też czynny udział w ich uprawianiu. Sama z tego przekonania wywiodła wnioski daleko idące, podejmując się dowodzenia oddziałem (sami strzelcy wyborowi) historyków literatury, poetologów, językoznawców, filologów, styloznawców, wersologów, którzy pod Jej kierunkiem i z Jej udziałem przygotowują obecnie wydanie dzieł wszystkich Jana Kochanowskiego.

Te wielorakie zainteresowania, przedsięwzięcia i wyprawy organizują wokół Pani Mayenowej niezmiernie charakterystyczny i urozmaicony pejzaż środowiskowy. Współtworzą go ludzie reprezentujący najprzeróżniejsze dziedziny fachowości, szkoły myślenia i grupy wieku. Osobliwa konfiguracja problemów i zadań, które Ją zaprzatają, znajduje jakby równoważnik w równie osobliwej konfiguracji osób, które Ją otaczają. Rozrost dominium Pani Mayenowej to zarazem pojawianie się nowych autorytetów, uczniów, współpracowników, zwolenników, kibiców i ... przeciwników. Role nie są — oczywiście — rozdane raz na zawsze: uczniowie stają się z czasem partnerami, ze współpracowników wyrastają autorytety, kibice stają się zwolennikami itp. Nawet z przeciwnikami różnie bywa; ich role też nie są dożywotnie... Najbardziej uderzającą cechą tego towarzystwa (nie potrafię tu znaleźć innej stosownej nazwy) jest jego organiczność. Jeśli jawi się naszym oczom jako całość, to nie dlatego, że zrodziło się z zaciągu jednostek dobieranych wedle określonych kryteriów przydatności, a więc takich, które zdolne byłyby utożsamić się z miejscami z góry dla nich przewidzianymi w jakimś układzie funkcjonalnym; raczej przeciwnie: dlatego, że narastało w sposób niewymuszony i jakby naturalnie, nie bez udziału szczęśliwych zbiegów okoliczności, trochę jak łąka lub las. Pani Mayenowa ma szczególną stałość do ludzi, którzy pulę zainteresowań towarzystwa potrafią wzbogacić doświadczeniami skądinąd — przybyszów z nie dość tu jeszcze znanych rejonów świata nauki; ceni umiejętności rzadkie, specjalizacje nadzwyczaj wyrafinowane, sprawności «egzotyczne» — nawet jeśli pożytki z nich pły-

nące nie są jeszcze zbyt oczywiste. Główną więzią, która z nieokreślonego liczbowo zbioru osób czyni naturalne środowisko Pani Mayenowej, jest stymulowana przez nią potrzeba komunikowania się w kwestiach uznawanych wspólnie za ważne — bez względu na sposób ich rozwiązywania. Jakoż niewygasające dyskusje, uzgadniania punktów widzenia, dogadywania się, uściślenia i odróżniania stanowisk — określają codzienny sposób życia tego towarzystwa. Należy się do niego dlatego, że chce się w takiej komunikacji uczestniczyć, a nie dlatego, że wynika to z okoliczności organizacyjnych, podziałów resortowych czy przymusów specjalizacji naukowej. Całość ta niewiele ma wspólnego ze strukturami typu instytutu, pracowni, katedry, a nawet szkoły badawczej (choć o każdą z nich jakoś zahacza); w dzisiejszym układzie życia naukowego nie należy raczej do zjawisk typowych. Ale może właśnie najprawdziwsze (tzn. najbardziej twórcze) życie nauki toczy się w takich bezforemnych wspólnotach?

Wspomniałem o przeciwnikach. Ich nieistnienie w tym krajobrazie byłoby doprawdy czymś zupełnie niezrozumiałym, jako że wobec Pani Mayenowej trudno żywić uczucia nijakie. A nie tylko przyjaźń, zaufanie, lubienie, podziw, uznanie — są przeciwieństwem uczuć nijakich; także — nie skrywana niechęć, irytacja, oburzenie, sprzeciw. Nie wchodzę w motywy tych ostatnich: mogą być «niskie» lub wysublimowane. Ludzie wyraziłci nie pędzą życia ułatwionego, zwłaszcza w warunkach, gdy raczej niewyrazistość jest uprzywilejowana. Świat Pani Mayenowej drażni niektórych tym właśnie, że jest pograniczny, a więc trudny do ogarnięcia przez wyobraźnię «branżową»; w innych dotkliwie godzą Jej pełne fantazji (nieraz fantastyczne) projekty, nie uwzględniające realiów i przyziemnych ograniczeń; jeszcze inni nie bardzo mogą się pogodzić z faktem, że wkracza bez pytania na tereny, które uważali za swoje. Człowiek wyrazisty stanowi problem dla otoczenia przede wszystkim dlatego, że jego postawa, zainteresowania i formy aktywności są jakby przesunięte w stosunku do tego, co zwyczajowo unormowane, uznawane za «będące na miejscu» i oczekiwane. Myślę, że chyba każdy, kto nieprzypadkowo kontaktował się z Panią Mayenową, miał okazję doświadczać takiego zjawiska — i to wielorako.

Weźmy na przykład Jej przebywanie w sferze urzędów, funkcji i godności. Na pozór jest człowiekiem-instytucją. Przez wiele lat

była wicedyrektorem IBL-u, kierowała i kieruje zakładami, pracowniami, zespołami, zasiadała i zasiada w redakcjach, niezliczonych komisjach, komitetach, radach i ciałach opiniodawczych. Ilekroć jednak stykam się z Nią w tego rodzaju sytuacjach — nieodmiennie mam poczucie, że nie jest w stanie dokładnie wejść w przewidzianą rolę i sprostać wymogom instytucjonalnego scenariusza. W najbardziej urzędowe okoliczności włącza momenty osobistego zaangażowania i prywatności: jest za czymś lub przeciwko czemuś jako «ja» — wypełnione przekonaniem, uprzedzeniem, sympatiami, niechęciami, zamiłowaniem, a nawet dziwactwami. Nie wyobrażam sobie na przykład, by mogła przymusić się do współpracy z kimś, kogo nie lubi lub nie szanuje. Wiadomo, że ten właściwie odgrywa jakąś rolę, kto potrafi z premedytacją dokonać autoredukcji — celowo zubożyć się, wyhamować w sobie to wszystko, co nie ma związku ze skutecznością i ekonomią działania w danej sytuacji. Nic odleglejszego od postawy Pani Mayenowej. Ona bowiem — bez premedytacji — wzbogaca każdą rolę o elementy nieprzewidziane, zaskakujące, pochodzące z odległych nieraz zakresów doświadczeń. Tak wzbogacona rola przestaje oczywiście pasować do nadrzędnego scenariusza instytucjonalnego; ponadosobisty autorytet funkcji czy stanowiska ulega wtedy pomniejszeniu i przestąpieniu przez ekspresję całkiem osobistą, która na nowo jakby definiuje sytuację, zmuszając również pozostałych jej uczestników do porzucenia czysto «formalnych» pozycji (na co najczęściej nie mają wcale ochoty...). A w sferze działalności badawczej? Zgodnie z rozpowszechnionym stereotypem badacz o nastawieniu teoretycznym to przede wszystkim srogi systematyk, starannie i schludnie porządkujący kategorie pojęciowe, budowniczy łamiągówek, w których wszystko ostatecznie musi znaleźć się na właściwym miejscu, specjalista od rozstrzygnięć modelowych, obowiązujących w danej dziedzinie wiedzy. Trudno zapewne byłoby u nas znaleźć teoretyka literatury w mniejszym stopniu niż Pani Mayenowa dającego się wpisać w taki stereotyp. Z Jej przedsięwzięć bynajmniej nie wylania się uładzony ogród problemów. Przeciwnie: znajduje się Ona w centrum nieustannego wiru spraw, zagadnień, pomysłów i domysłów, ciągnących w różne strony i nie dających się wzajem uzgodnić. Wciąż stawia nowe pytania, mniej jakby troszcząc się o systematykę odpowiedzi. Gdy zaś postanawia uporządkować jakiś podobszar swoich zainteresowań — natychmiast pociąga to za sobą lawinę dalszych

pytań i wątpliwości, które zmieniają charakter tego, co miało podlegać porządkowaniu. Okazuje się na przykład, że sprawy dotąd zupełnie drugorzędne, drobne czy ledwo dostrzegane — nabierają niesłychanej doniosłości, gdy zniemacka spojrzeć na nie uważniej. Mucha pęcznieje do rozmiarów słonia; szczegół staje się zaczątkiem rozległej problematyki, która przerasta to, co przedtem wydawało się najważniejsze. Ta niepohamowana energia problemotwórcza czyni z dokonań Pani Mayenowej fragmenty jakiegoś «Work in Progress», którego rozmiaru i kształtów nikt nie potrafi sobie wyobrazić. Jest tak, jak gdyby autentycznie interesowały Ją tylko takie kwestie, którym jeszcze nie dała rady, zawierające w sobie element zagadki czy nie w pełni zrozumiałą komplikację. Natomiast z rozstrzygniętymi i oswojonymi — rozstaje się bez nadmiernego żalu. Za prawdziwie swoje zdaje się uważać to, co ukryte w cieniu niepełnej zrozumiałości; zagadnienia, które przesunęły się już w strefę światła, przestają do Niej należeć: może więc nie warto troszczyć się o nie dalej? Taką — nieprzyzwoicie psychologiczną — hipotezę potwierdzałyby pośrednio doświadczenia ludzi stykających się na co dzień ze sposobem mówienia Pani Mayenowej o sprawach najżywiej Ją obchodzących. Jest to mówienie osobliwie zamiatwane, krążące wokół jakiegoś tajemniczego ośrodka znaczeniowego, aluzyjnie potrącające o nie znane rozmówcy przesłanki, niekonkluzywne, przywołujące coś a zarazem przesłaniające. Czyż nie odpowiada ruchowi myśli, która s m a k u je zagadkowość problemu, zmierza się z niejasnością, ale jednocześnie pragnie jej oddać sprawiedliwość, gdyż się nią na swój sposób cieszy?

Swoje koncepty badawcze, zaciekawienia i fascynacje Pani Mayenowa rozsiewa w środowisku, zarażając nimi innych. Nie powściąga przyrodzonej hojności: Jej inspiracjom, oddziaływaniu owych szczerze rozrzuconych idei, pomysłów i podniet — jakże wiele zawdzięczają prace cudze. Wrażliwa na to, co oryginalne i pobudzające do myślenia, a przy tym zachowująca niewygasłą chęć uczenia się i zdobywania nowych doświadczeń — miała wielki wpływ na rozprzestrzenianie się w naszym literaturoznawstwie całych nurtów zainteresowań, a nawet mód naukowych, zwłaszcza w młodszych generacjach polonistów. To Jej w znacznej mierze zawdzięczamy tak żywą obecność w naszym myśleniu idei Romana Jakobsona i tradycji czeskiego strukturalizmu; to ona zapoczątkowała ciąg inicjatyw skupionych wokół hasła «poetyka i matematyka»; to z Jej

głównie nazwiskiem wiąże się ekspansja semiotyki nie tylko w refleksji literaturoznawczej.

Można by dużo jeszcze powiedzieć i opowiadać o Pani Mayenowej, dodając coraz to nowe rysy dramatyzujące Jej sylwetkę. Zastanawiając się nad różnymi aspektami Jej bycia w naszym środowisku, coraz zaplątuję się w sprzecznościach nie do rozwikłania. Ustaliłem w sobie oto pogląd, że jest badaczką niecierpliwą w swoich poszukiwaniach, skłoną do rozstrzygnięć bliskich improwizacji, bardziej zafrapowaną możliwościami stawiania nowych problemów niż ich systematycznym rozwiązywaniem itd. itd. Ale jak mam wytłumaczyć fakt, że uczona o takich predyspozycjach uporczywie wiąże swój los z przedsięwzięciami zaplanowanymi na dziesięciolecia, wymagającymi skrupulatności, systematycznego i cierpliwego wysiłku, upartej konsekwencji działania? Stanowczo jest tych sprzeczności ponad miarę. Nie mogąc uporać się z tyloma dysonansami poznawczymi, muszę przerwać opowieść. Łatwo zgodzimy się, że Pani Mayenowa należy do problemów nierozwiązywalnych. Istnienie takich problemów jest jednak wysoce krzepiące. Czym byłby bez nich świat nauki? Chyba tylko królestwem problemów węzłowych i re-sortowych.

Janusz Sławiński